

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 23 marca 1844.

Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 8 marca 1844.

Stroje damskie. W tej chwili publiczność tak jest zajęta koncertami, teatrem i wieczornymi schadzkami, iż możnaby mniemać że modystki tutejsze dostarczając najobficiej stosownych do tego strojów, zapomniały zupełnie o zbliżającej się do nas sporym krokiem wiosnie i o modelach strojów wiosennych. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Widzimy już tuowdzie jasnofioletowe i liliowe kapotki; zapowiadające nam tę uroczą porę roku, i można być pewnym że skoro pierwsze dni piękne zabłysną można będzie znaleźć w tutejszych pracowniach znaczny zapas strojów tego rodzaju.

Jako strój nowy wymienim turban z materii algierskiej zielonego i złocistego koloru, którego szarfa po obu stronach formuje trzy fontazie a kończy się fręzlą arabską; także brzeżek z białej krepy, trochę na bok przechilony, ozdobiony białymi powiewnymi piórami; stroik ten zalecony przez markizę *Duvalon* podobał się wszystkim i ma dziś wziętość powszechną.

Zpomiedzy modelów jakie można widzieć w pracowni pp. *Brunet et Leymerie* wyszczególnia się suknia tiulowa nierozcięta, białego, różowego lub zielonego koloru, bez powłoki czyli o jednej tylko spodnicy. Właśnie z tejto pracowni wyszły pierwsze modele sukien o kilku spodnicach, i ciż sami wynalazcy starają się wrócić pojedynczym sukniom wziętość jaką im dawniej odjęli.

Inna suknia zasługująca na spomnienie jest z krepy gładkiej koloru siarkowego; stanik fałdowany i zgrabne krótkie rękawy przyczyniają się do upiększenia tej sukni; ozdoba jej zarzutka czyli rańtuch algierski w tysiące kolorowych prążków z prawego ramienia

ku lewemu biodru, spadający nierównymi końcami aż do dołu.

Co do sukien materialnych strojnieszych, wypada przytoczyć tu suknię z tafty zielonopopielatego koloru, ozdobioną marabutami w sposób agrafy dla podtrzymania długich wstęg *à la Bayadere*; stanik w fałdziki z podwójnem wyłożeniem w gorsie.

Pokazała się tu nowa całkiem materia z Indostanu, tej ojezyny najpiękniejszych szalów i tkanin najdroższych i najpyszniejszych. Ma ona trwałość axamitu, połysk najpiękniejszej kitajki, a mimo to, ani jest gruba, ani też niema w sobie nic dziwaczego. Jestto paliakatska tafta, nazwana tak od miasta które dostarcza najpiękniejszych i od całego eleganckiego świata poszukiwanych muszlinów. Materia ta jest bez żadnego deseni, kolor ma błądy zbliżający się najwięcej do majowego; z niejto zamyślają tu robić suknie z długim, ukasany ogonem, z połami rozciętymi z przodu i odkrywającymi spodnice atlasową, a wszystko mówi za tem, że skoro się strój ten ukaże, zyska najgłośniejszą pochwałę i wziętość powszechną.

Dodamy tu tylko postrzeżenie ogólne, że staniki albańskie z axamitnemi zawłóczkami są dziś bardzo lubionym strojem. Do odwidzin służą staniki wysokie, u gorsu i w pasie ozdobione brandenburgami i jedwabnemi taśmami. Do zabaw służą staniki zbierane, kończące z przodu, ozdobione korunkami lub bertą z krepy; rękawy krótkie i ozdobione tak jak stanik. Spodnice są zwykle otwarte, z przodu odsłaniające bryt atlasu białego, w desen śrebrzystej mory; fontaż ze śrebrzystej wstążki lub też agrafa z kwiatów służy do podtrzymywania pól.

Rycina przedstawia: suknię z krepy białej na przodzie girlandą ubraną. Szlafroczek grodenapłowy do stroju rannego. Tudzież suknię z fularu

gładkiego z dwiema falbanami *à la neige* ubrana, po której tunika gładka rulonami obszyta, stanik drapowany z przodu ze szpicem; głowa w loki srebrnymi liśćmi i rajskim ptakiem ubrana.

Stroje męskie. Najulubieńsze dziś są materie na spodnie w drobne kratki. Dwa kolory zdają się mieć pierwszeństwo przed innymi. Jedne są w paski niebieskie i białe, które są połączone. Drugie w paski zielone i białe. Prócz tych są w używaniu także doskiny w zielone i niebieskie paski lub tym podobne. Wymieniamy tu tak zwaną materię chinokorę patentowaną, wyrabia się ona z chińskiego jedwabiu i pewnego rodzaju kory. Podobna do surowego batystu, jest mocna chociaż bardzo cienka, niepodpadająca zmięciu i tem się zbliża do tkanin włosiennych. Stanowi ona największą osobliwość między materiałami na stroje męskie.

Rycina przedstawia: frak do konnej przejażdżki, tudzież surdut o jednym rzędzie guzików do ранego stroju, z kieszenia na lewej piersi.

STLUCZONE OKNO,

powieść

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

I.

PRZY PRĘGIERZU.

Roku 18... dnia niepomnę którego, wiem tylko, że byłto dzień wiosenny, jeden z tych dni kwietniowych, który jak zgrabna zalotnica, co chwila odmienna, to wesołym spojrzeniem rokosz objękuje, to znowu zasepionym i mglistym wzrokiem swoim, najbujniejsze niszczy nadzieje; w taki dzień napół promienny, napół posepny, o godzinie dziesiątej z rana, ciekawe tłumy miejskich próżniaków ściągały się z różnych ulic do rynku stołecznego. Jakkolwiek w tej chwili wiosenne świeciło słońce, nie chęćto przechadzki zdaje się wszystkich pociągać; miarkując po przyspieszonych krokach, po oczach z ciekawością w jedno miejsce zwracanych, inny ich tam wiedzie powód zajmujący wszystkie umysły. Nietrudno w mieście o wzbudzenie gotowej zawsze ciekawości, która z równym zapalem biegnie na smutne czy wesołe widowisko: czy warto, czy niewarto, wszyscy biegną, byle czem nowem zająć oczy do ciągłego patrzenia wzwyczajone, różnaitością przedmiotów nasuwających się w mieście codzień co godzina; dla próżniaczkiej gawiedzi równie zajmującym jest najpyśniejszy przegląd wojskowy, jak i najobrzydliwsze

konanie przejechanego psa.... Tą razą zdaje się, że powód zbiegowiska nie jest jeszcze, a przynajmniej nie wszystkim jest znany, bo jużciż narożna fontanna, wkoło której najwięcej jest ludzi, nie ma w sobie nic ciekawszego dzisiaj, czego by wczoraj nie miała, a i gwar złożony z tysięcznych krzyżujących się pytań i odpowiedzi, ruchy niespokojne i oglądania ciągle dowodzą, że się tu odbywa najciekawsza część każdego widowiska miejskiego, a tą jest obfite w domysły oczekiwanie. W takich razach nie brakuje na opowiadaczach miejskich, którzyto najlepiej wiedzą przyczyny, istotę i wynikłości każdego objawiającego się zdarzenia; niepłatne cycerony sypią przed ciekawymi cały skarb swoich wszechstronnych wiadomości; najkapryśniejszy domysł przytomnych ma gotową u nich odpowiedź, a razem zaród nowych domniemywań, bo choć prawią wiele, ale w ich odpowiedziach więcej jest przedmowy zaostrożającej ciekawości, niżeli zaspakajającego dzieła; a tyle mieszają rozlicznych epizodów, iż prawdziwie posądzić ich się chce o naumyślną czy mimowolną współkę z ciekawymi tajemnic kieszeniowych, których każdy taki zbiór ludzi mieści zawsze w swoim łonie. Coraz więcej ciekawych przybywa, i chociaż żaden z nich niewie o co rzecz idzie, jeden goni za drugim, bo w tem jednym kredyt gawiedzi miejskiej jest nieograniczony; ciekawość tylko bankructwami najpiękniejszych nadziei niezrażona ma zawsze swoje oko i nogi gotowe, byle nie serce, bo te ciekawy czy w domu zostawia, czyli ma przytępione ciąglą zmianą rozmaitych widoków, niewiem, ale to pewna, że nadaremnie uderzają w nie najsmutniejsze i najweselsze seeny. Ciekawość miejska jest rodzaj rzemiosła, to też ciekawy z profesii, czuły w domu ojciec, mąż, przyjaciel, jest na ulicy tak obojętny jak lekarz przy łóżu śmiertelnym swojego pacjenta; jak lekarza choreba obchodzi tylko swymi symptomatami zewnętrznie, tak ciekawy z profesii widzi tylko w każdym zdarzeniu powierzchowne onego znamiona, które je robią mniej lub więcej ciekawem: jednym słowem ciało zdarzenia jest dla ciekawego z profesii, dusza zaś zdarzenia jest mu póty obojętna, póki przyszedłszy do domu nie opowie mu jej jaki dobry przyjaciel, lub nie wyczyta z kolumn dziennika jakiego; wówczas gotów nawet zapłakać nad martwym oddaniem tego co widział żywym przed sobą.

Najdobitniej okazała się ta obojętność, gdy nagle z końca ulicy pojawił się prowadzony przez straż miejską mężczyzna jakiś w grubej więźniowej sukmanie; rozstąpiły się milezące tłumy, a więzień chwiejącym krokiem stanął na przygotowane rusztowanie

na którym wznosząc się po nad głowy ciekawych stał się celem wszystkich spojrzeń. Tablica na piersi więźnia zawieszona zimno odpowiedziała ciekawości zimnej. »Falszywe świadectwo«. Długo trwało za nim zgromadzeni wyczytali zupełnie tę krótką odpowiedź, na ich długie oczekiwanie, i obszerną ciekawość, jakby z każdej zgłoski miało się im coś nowego objawić; dłużej trwało jeszcze, za nim wysłabizowali pismo cierpień zwyczajnych wypisane na twarzy więźnia stojącego na pręgierz...

Rozłamały się tłumy w mniejsze grona znajomych którzy się zdychali, i nieznanym żądnych pogadanki; jakoż wszczynają się różnorodne rozmowy towarzyszone spojrzeciami na więźnia rzucanymi, z których podług własnych usposobień wyrabiają wyobrażenia o nim, jego przestępstwie i karze. Gdyby można jednym rzutem oka przebiec na raz wszystkie twarze zebrane, dowiedzielibyśmy się z niemałym zadziwieniem jak bogatą jest w odcienia, tak mało na pozór wyrazista obojętność ciekawych z profesji; a wszystkie razem trącają tak mocno o śmieszność, że patrząc na nich z góry więzień, gdyby zdołał inne tajemniejsze odrzucić na bok myśli i uczucia, mógłby zasłużeńszym odpowiedzieć szyderstwem na szyderstwo jakie rozbiega po całym zgromadzeniu, towarzyszone komentarzami o jego postawie: on by mógł być widzem ciekawszym daleko pociesniejszego widowiska.

— Bo uważa pani, szło o grubą sumę; podskrobał jedno nazwisko, drugie zfałszował; gadał nizki jegomość w tabaczkowy surdut tonący, a głowę zadzierał do góry w silnym przekonaniu że równego z drugimi jest wzrostu.

— Jakto? proszę pana; odpowiedziała chuda i wysoka jejmość w czytku kwiatami więcej upstrzonym, niżeli stara twarz zmarszczkami; coż on fałszował; ja słyszałam że tylko banknoty fałszują...

— To on banknoty fałszował? zapytał otyły jegomość, który z godną połowicą równej otyłości ledwie się dopchał na te nieco wolniejsze miejsce.

— Uważasz Leopold, jak się to trzeba strzedz; dobrze pan Piłka mówił wczoraj, że ta piątka którą ów jegomość ospowaty w czamarcie dawał za kawę była fałszywa.... O bo pan Piłka doświadczony człowiek.

— Ta piątka była prawdziwa, a pan Piłka niech swego nosa pilnuje.

— Nie bzdurzyłbyś przynajmniej między ludźmi... oj! gdyby nie p. Piłka niewiem co byś ty robił...

— Ja! jak ja, ale ty?...

— Cicho! cicho! już się rozgadał; wolisz patrzeć na tego kryminalistę.

— Owa! czy ja to już jednego widział...

— A i pani Fusowa tu...

— Ale że pani Cykoria wyszła przecie...

— Ot ten głupi Leopold wyprowadził mnie tutaj... ale że pana Piłka niema jeszcze, on by to nam opowiedział najlepiej...

— Niema co opowiadać!... fałszował banknoty, i koniec!...

— Ale nie banknoty!...

— Otoż macie, dowiedz że się tu czego!... żeby już pan Piłka przyszedł raz.

— A jaki niepokąźny.

— A jaki chudy! jak szeptała, dodała tłusta Cykoria, zwrócona ku chudej Fusowej.

— Widziałam ja już i tłustych jak się wypiekali na pręgierzu, odrzekła chuda Fusowa zwrócona do tłustej Cykorii.

— Otoż i pan Piłka!... Nadeszły w tej chwili pan Piłka był podobniejszy do pilnika, tak nędznie polamano wyglądał, ze starego wytartego surduta sieraczkowego, ale za to miną, ruchem skaczącym, głosem natężonym poprawiał wady swojej powierzchowności.

— Powiedz nam pan co to za jeden?...

— Bo pani Cykoria powiada że go pan zna.

— Ja bym miał znać takiego urwisza, draba!... ach niech mnie pan bóg strzeże od tego.

Już to prawda wygląda jak prawdziwy kryminalista; taki wymokły, nędzny, kościsty! nie prawdaż pani Fusowa?...

— Tajemne tylko grzechy tuczą człowieka! nieprawdaż pani Cykoria?...

— Coż on fałszował przecie? przerwał ciekawy pan Cykoria....

— Cessię zfałszował! mówiłem już to pani Fusowej.

— Cessię! Cessię! proszę kogo! o to łotr!... ależ panie Piłka, co to jest Cessia?...

— Nie Cessię, nie banknoty; ja to państwu co do słóweczka opowiem; trzeba wiedzieć....

— Patrz Leopold, jak on tu spogląda...

— Ale proszę nie przerywać... trzeba wiedzieć, że on był dawniej służącym u adwokata....

— Ha! ha! zaśmiał się głośno wysokie jakieś panisko stare chude, mocnymi rysami twarzy i kościstymi członkami odznaczone, a z łaską i parasolem w ręku prawdziwie na dzień kwietniowy wybrany; zwyczajną swoją odbywając przechadzkę po rynku

stał na przeciw pręgierza.... U adwokata mruknął; nie koniecznie.... znajoma mi gdzieś ta twarz....

— Proszę pana dobrodzieja, zwróciła się Cykoria do niego, ależ pan Piłka powiada....

— To sobie wacani wierz panu Pilce....

— Wacani! wacani! zapырzyła się Cykoria, aż chustką pot obcierać musiała z tłustej, obwisłej a karmazynowej twarzy. Parasolowy jegomość poszedł dalej, należał bowiem nie do ciekawych z profesii, ale z przypadku.

— Nie przeszkadzajcie państwo! ja opowiem co do słoweczka; trzeba wiedzieć że gdy był służącym u adwokata, razu jednego ten adwokat....

— O! o! czegoś niby szuka pomiędzy ludźmi.

— Ależ nie przerywajcie!...

— Kiedyż tak okropnie wyszczerzył oczy aż mnie strach przejmuje... panie Pilko! czy mocne ma on łańcuchy?

— Co też pani boi się takiego chrząszcza.... słuchajcie raz....

— Nie! nie! ja do domu pójdę, bo on strasznie patrzy; diabeł nie spi, może tam kiedy człowieka znał, i nuż się przyzna....

— A jak dziko z pod łba spogląda, założyłbym się że musiał kogo zabić....

— Okradł, to więcej jakby zabił, prawdziwych sukcesorów fałszywym testamentem....

— Ten testament patrzy mu z oczów, jabym z nim nie spała razem w jednym pokoju.... Wrzeczy zaś samej twarz więźnia i spojrzenia jego nie były tak odrażające, jakimi je widziała ciekawość pospólstwa. Byłto człowiek już nie młody, zmarszczki pokrywały twarz, której ogólnym wyrazem było cierpienie, co w przód w czasach wolności i swobody było na tej twarzy poznać niepodobna, ale ani w niej, ani w oczach nie widać żadnego mocno odbitego wyrazu, jakim bywają napiętnowane twarze wielkich zbrodniarzy; ani pomieszania, ani bezwstydney zakamienialości: gdyby nie otaczające go inne oznaki można by go wziąć za dobrego i prostodusznego staruszka oddanego smutnemu zadumaniu. Czasem tylko wyraz silniejszy jakby kurezem natężenia przebiegnie przez twarz, oczy zamarłe ożywią się łzą. Łza w oczach zbrodniarza nie wzbudzi litości w zgromadzonym tłumie, bo wszyscy widzowie przedewszystkiem są ściśle moralne członki towarzystwa z którego zbrodniarz prawem osądzony na zawsze wykluczony.

— Patrz jak ten łotr płacze!... bo mu się nie udało!... Złapali ptaszka!... takie i tym podobne sprawiedliwe może, ale wszelkiego pozbawione miłosierdzia słowa przebiegały zgromadzenie, i może doszły

choć w części uszu więźnia, bo łza ledwie zaświeciła już i zgasała, oczy lekkim ruchem wzniosły się ku niebu wypogodzonemu, usta się otwały jakby coś przemówić chciały; a gdy po chwili spuścił oczy i spojrzał niemi po zgromadzeniu, prawdziwie najsłabiej ze wszystkich wydała się twarz więźnia na pręgierzu. Oddaniem się losowi swemu uspokojone spojrzenia przesuwiał po przytomnych tak słodko i tak uprzejmie, jakby dziękował że go odwiedzili po raz ostatni, jakby im z serca przebaczał te żelżywe ich słowa, i żelżywsze jeszcze twarz wyrazi. A może i szukał kogo w tłumie, bo czasem dalej poza koło zgromadzone puszczał oczy w głąb ulicy na przeciw której stał; ale darmo szukać się zdaje, oko zwraca się nazad, i dłużej już wzniesione ku górze pozostaje: tam łatwiej przyjdzie więźniowi znaleźć tę co tu szuka pociechę.

Z przeciwnej ulicy szedł mężczyzna jakiś posuwistym krokiem, jakby mu pilno było; zbliżywszy się do rogu stanął, wahał się przez chwilę, lecz wnet posunął ku zgromadzeniu. Twarz i postawa godnie odpowiadają całemu jego ułożeniu niedbałemu i obojętnemu; zawiesiste a szeroko rozrzucone wąsy idą w parze z tym krokiem tak zuchwale zamaszystym jakby na zwojowanie całego szedł świata; oczy na wierzchu osadzone śmiało poglądają na wszystkie strony; jeżeli się można tak wyrazić, są one wymowne brakiem wszelkiego odrębnego wyrazu; ni tam dowcipu ni też głupoty; żadne żywsze ludzkie uczucie nie musiało przez nie poglądać; wszystkie te odcienia jakich wzrok nasz przez ciąg życia nabywa, i które właściwie stanowią najwyrazistszą barwę moralną oka, wszystkie pochłonał w nim wyraz niedbającej o nie nieczułej i czułości niewymagającej obojętności.... Czoło wyniosłe widać zpod kapelusza na bakier zwieszonego, ale trudno zawyrokować czy nie więcej jest wytarte bezwstydem niżeli długi bajowy surdut przenoszeniem; twarz nawet której zarysów pięknych odmówić nie podobna, pokryta jest barwą śniadą a tak świecą jakby była powleczona pokostem bezwstydu mającym ją bronić od natarczywości wszelkich wzruszeń. Byłto twarz miedziana w całym tego słowa znaczeniu. Ruchy przytem wszystkie pewne siebie, niepodległe ani zwyczajom ani modzie, stąpanie dobitne, wielka, gruba i sękowata laska którą wywijał w koło siebie, uzupełniały całość tego nowego przybysza nadto oryginalną, by mogła się wydać śmieszną. Wiek jego istotny trudno odgadnąć, tyle tylko na pierwszy rzut oka powiedzieć można, że nie stary jeszcze, choć mimowolnie nasuwa się myśl, że mnogich, długich i ciężkich doświadczeń wynikło-

ścią być musiało, to usposobienie rozlane na całej jego postawie. Zbliżył się do grona otaczającego panią Cykorie; śnać znał wszystkich, kiwnieniem bowiem laski protekcyjnym prawie pozdrowił ich, a przywitał uśmiechem szydzącym ze wszystkiego i niedbającym o nikogo.

— Piękna pani Cykoria tutaj; i pan Piłka oczywiście, a w domu rozgardiasz!...

— Kto taki? zapytał pan Leopold.

— Kawy, likworów żądają goście bez końca, a Hanusia szczerzy ząbki do młodego praktykanta.

— Widzisz Leopold! zawsze mnie namówisz do jakiegoś głupstwa... i coż tu tak ciekawego? jakiś mizerak, nie ma się patrzeć na kogo. Spojrzał się nań nowo przybyły z uwagą....

— Przez tego łotra będę miała w domu ubytek...

— Nie mów pani tak o nim! szepnął Piłka.

— I ktoż mi zabroni nazwać każdego po jego nazwisku?...

— Ale bo ten!... o ten!... i wskazał okiem wąsacza.

— Coż ten?... zapytała Cykoria z iskrzącymi od ciekawości oczyma....

— W domu pani opowiem... oni się znają... i ruchem oczu wieleznaczącym, zwróconym kolejnie na więźnia i pana w bajowym surducie dopowiedział reszty.

— Pan Szumiło?... czy być może?...

— Cy! cyt! patrzy tu!... Przez ten czas pan Szumiło nie spuszczał oka z więźnia, wpatrywał się weń z uwagą niezwykłą przy tak zimnem usposobieniu.

— No! Leopold! chodźmy do domu!... znowu ten kryminalista spojrzał ku nam; złemi oczyma gotów odpędzić gości naszych.

— Byle kawa była dobra, a tańsza! zaśmiał się pan Szumiło.

Więzień z jednostajną cierpliwością znosił przykrość położenia swego, i te wszystkie ócz wejrzenia, i wszystkie ust uwagi, które pluły na niego obelgi i przekleństwa; ciągle to w górę podnosił oczy, to śledził niemi po całym zgromadzeniu, nagle utkwiał w jedno miejsce, twarz jego zajaśniała wyrazem błogiej pociechy, usta jego poruszyły się, jakby mówić chciały, rodzaj nawet uśmiechu rozpromienił blade lica.

— On patrzy! tu gdzieś! na kogoś! zaczęli mówić między sobą zgrozą przejęci, że jakiś zbrodnia-rza znajomy znajduje się między nimi....

— A co? nie mówiłem drogiej pani! szeptał Piłka.

— Ktoby się spodziewał tego po nim, udaje panieczkę; muszę też zajrzeć do mojej książki, jak też on tam stoi zapisany.

Pan Szumiło zdrybał się ze spojrzeniami więźnia, i patrzył mu czas jakiś oko w oko; oczy więźnia coraz czulej i tkliwiej patrząc zdawały się mówić najwymowniejszym językiem jaki natura dała człowiekowi. Pan Szumiło został nieporuszony jak głaz; zrozumieli to wejrzenie czy nie, ktoż odgadnie z twarzy do której ostatni uśmiech złośliwy przylgnął jakby przez zapomnienie: lecz gdy się oczy przytomnych zaczęły zwracać na niego, obrócił się nagle jakby syt widoku po który przyszedł, i zwyczajnym idąc krokiem rozpychał skupione tłumy.

Gdy się to działo, koło rusztowania przybyło dwóch nowych widzów niepostrzeżonych. W oknach pierwszopiętrowych dwóch domów narożnych zjawily się dwie postacie które przypadek zapewne tam przyprowadził, bo zwykle pierwszopiętrowa arystokracja ciekawość swoją na ważniejsze zachowuje przedmioty. W jednym oknie narożnym stał mężczyzna, w drugim kobieta; oboje nie młodzi; na obydwóch twarzach, jakkolwiek różnych od siebie, bo mężczyzna jest mocno chudy, a kobieta mocno otyła, jednakowy prawie jest wyraz zimnej zobojętności; jestto najrodzinniejsze podobieństwo nabyte życiem zużytem i przesyconem, które stosownie do różnych usposobień fizycznych, jednego na żółtą mumię wysuszyło, a drugę wydeło w tę fałszywą nalanę i chorowitą otyłość. Jedną zapewne myślą poruszeni, stanęli w oknach otwartych, by może wiośnianym odetchnąć powietrzem; bezmyślnie z początku patrzyli ku zgromadzeniu zebranemu, gdy nagle z większą zaczęli się przypatrywać uwagą więźniowi, którego twarz słońcem oświeconę dostrzedz mogli wyraźnie. Wpatrując się coraz żywiej, i twarz wyschła i twarz nadęta ożywiała się pomału ciemnem jakimś przypomnieniem, które powoli wysuwa się z łona przeszłości. Jakby namówieni cofnęli się od okna w chęci odejścia, ale siłą wyższą nad chęć zatrzymani nie mogą spuścić oka z biednego coraz więcej zmęczonego więźnia. W tej chwili więzień rzucając za odchodzącym panem Szumiło ostatnie spojrzenie, w którym coraz smutniejsze i tęskniejsze odbijały się uczucia, dostrzegł patrzących przez okno; wyraz inny wystąpił na twarz jego, oczy wybiegły na wierzch, blada twarz pokryła się rumieńcem jaskrawym; zadrzał, rękę chciał podnieść ale tylko łańcuchy zadzwoniły. Na ten dźwięk zadrżeli widzowie, ale jakby czarem przykuci ode-rwać się nie mogą od okna, i patrzą oczami szeroko rozwartymi w biednego więźnia. Zdrybały się ich oczy ze wzrokiem więźnia, a idąc za biegającym jego okiem, spojrzeli po sobie. Jak łyskawica przebiegł wyraz okropny wzajemnego poznania się przez trzy

twarze; zadziwieniem i przestraczem skureczył twarz widzów, zgrozą i boleścią twarz więźnia. Krótka była chwila, okropna zapewne jeżeli się znali... salon z przegierzem!... Pierwszy opamiętał się mężczyzna suchy; ręką drżącą czy od starości czy od wewnętrznego poruszenia pociągnął okno ku sobie by je zamknąć, ale niezgrabnem pociągnięciem przyciśniona szyba pękła z łoskotem. Na ten odgłos stłuczonej szyby niedosłyszany prawie w gwarze napętniającym rynek, idący zamaszystym krokiem pan Szumiło podniósł oczy, a choć wszystko jedną tylko chwilę trwało, dostrzegł te trzy wyrazy na trzech twarzach, wzajemnego poznania się, przestraczu i zgrozy; musiały też być okropne, kiedy zatrzymał się Szumiło wpółkroku, wyraz jakiś dziwnie ciekawy wybiegł na miedzianą twarz, i z niezwykle sobie zajęciem wpatrywał się w mężczyznę którego dłużej mógł widzieć. Zuchwałym wzrokiem swoim obglądał twarz chudą, jakby chciał ją na zawsze w pamięci zachować; najdłużej wpatrywał się w dawną jakąś czy bliźnię czy znajomą nad lewem okiem mężczyzny w oknie.

Znikły postacie obie, wszystko pozostało jak dawniej na rynku. Pan Szumiło idąc wolniejszym krokiem potrącił nie jednego znajomego z niemałym zadziwieniem patrzących na tego ze swej wesołości i małodbania o wszystko znanego oczajduszę. Ciekawi rozchodzili się pomału niezadowoleni jak zwykle z widowiska, które ich oczekiwaniu nie odpowiedziało należycie. Najdłużej pozostał biedny więzień; długo jeszcze spoglądał z wycisniętem na twarzy poruszeniem głębokiem w próżne okna, aż nareszcie pobladł jak dawniej i jak pierwszej wzniosły się oczy jego ku niebu z wyrazem szczerzego oddania się bogu. Więzień modlił się na przegierzu!...

Ciąg dalszy nastąpi.

Franceska Rimini.

Ustęp z pieśni V, Boskiejkomedii Dantego.

Kiedy wiatr ku nam wionął ich cieniami,
Głos mój podniosłem: O dusze strapione!
Jeśli niewzbronno, pomówcie też z nami!

Jak dwa gołąbki wspólną żądzą pchnione
Do gniazdka, żagle w powietrzu rozwieszają,
Jednością woli i uczuć niesione;

Tak oni, z miejsca gdzie Dido z swą rzeszą,
Pomkną się ku nam wyziewu obłokiem,
Na głos mój wdzięczny, och jakże się spieszą!

»Istota z tkliwym i litośnym wzrokiem
Co nas nawidzasz w potępienia jamie,
Choćemy ziemię zlał krwi potokiem.

Gdyby nas pańskie niezapchnęło ramie,
Modlibyśmy o raj twojej duszy,
Bo naszym męką litość twa nie kłamie.

Wszystko co zechcesz mówić, i wzięść w uszy,
Słuchać będziemy i mówić szeroce,
Teraz, gdy wicher ustał i niegłuszy.

Kraj, co mię rodził 1) leży przy zatoce
W którą Pad wlewa dań swoich strumieni,
By przespąć w morzu nieprzespane noce.

Miłość w cnem sercu prędko się płomieni;
Ona, do mojej skuta go postaci,
Takiej uroczej, nim przeszedłam do cieni.

Miłość, co tylko odwetem się płaci,
Przełata we mnie jego szatów lawy,
Że i po śmierci nic nas nierozbraci.

Miłość nam koniec zgotowała krwawy.
Kain zabójcę czeka w swoim kole... 2)
I na tem uciął mowę cień bladawy.

Tak wysłuchawszy zranionych dusz bole,
Spadła mi głowa na pierś, aż Wirgili 2)
Spytał: Jakaż myśl siadła ci na czole?

Gdyś dał odpowiedź, znów rzekłem po chwili:
Przez jakąż marzeń stodycz, jakie szaty
Przeszli gdzieś w życiu, nim je w krwi zgasil!

Potym się ku nim zwrócić drżący cały
Mówiąc: Francesko! los twój mię przenika,
Aż gorzkim płaczem źrenice wezbrały.

Lecz gdyście jeszcze westchnieniami z tajemica
Z sobą gadali, co też was ostrzegło
O tem, co w serca głębiach się zamyka?

A ona: »Mękę niepojmiesz rozległą,
Towarzyszącą wspomnieniom w złej toni;
Twój mistrz ją pojął; 3) lecz jeśli ubiegła

Chcesz wiedzieć przeszłość?... niechże się odsłoni!
Opowiem pierwsze skłonności zarody,
Jak ten, co razem mówi i tży roni.

1) Franceska była rodem z Rawenny, i córką Gwidona da Polenta, pana na Rawennie. Kochała się w młodym Pawle Rimini, lecz nieposzła za niego, tylko za starszego brata Lanciotto Rimini, który był szpetny i chromy. Kochankowie niemogli wyrzec się pierwszej namiętności, i pewnego dnia, czytając przygody Lancelota z Jeziora, mąż, który ich szpiegował, wpadł i zabił oboje, jednym pchnięciem miecza.

2) Wirgili towarzyszył Dantemu do piekieł.

3) Aluzja do wierszy z Wirgiliuszowej Eneidy:
*Sed si tantus amor casus cognoscere nostros...
Quaquam animus meminisse horret, luctuque refugit,
Incipiam.*

Raz dla rozrywki czytając przygody
Lancelotowe, jak się rozmiłował,
Byliśmy sami: ja młoda, on młody.

A wśród czytania lice nam farbował,
Częsty rumieniec, wzrok pałał strzelisty;
I, jeden ustęp na wieki nas skował...

Bo kiedy w więździe, całunek ognisty
Kochanek kładzie na ustach koralu,
Takim całunkiem, on, druh mój wieczysty,

Dotknął ust moich i raj my poznali.
Autor był dla nas drugim Gallehotem; *)
Już my go więcej w dniu tym nieczytali.

Kiedy cień jeden rozповідаł o tem,
Drugi się łzami zalał tak rzewnemi,
Żem czuł już bliskie rozstanie z żywotem
I napót martwy przypadłem do ziemi.

Czyż warto żyć?

Marzenia młodych lat
Stubarwny wiosny kwiat,
Ach! zdeptał świat,
Potargał złotą nić,
Uroków, marzeń, snów,
Chciał, żeby bez nich żyć,
Nie czuć, nie śnić!

Na sny me rozlał jad
I w samym kwiecie lat
Życie mi skradł.
Miłości zniszczył raj,
Przyjaźni zdeptał maj —
Nie mogąc marzyć, śnić
Czyż warto żyć?

Różowy obłok zbladł,
Co mój owiewał świat,
Bom przestał śnić!
Świat jakby mroźny grad
Start młodej wiary ślad,
I wszczepił zbytkiem zrad
Szyderstwa jad...

Dziś w piersi uczuć tłum,
Jak burz jesiennych szum,
Jak echo dum.
Stepowych żalów ła,
Tak dziko rzewnie gra.
A serce, wspomnień mgła
Trawi jak rdza...

Alex. P...

W maju 1843.

Wspomnienia.

I.
W kącie pokoju w małym łóżeczku, leży słaba blade dziecina. Wyraz cierpienia na jej twarzy, a jednak na licu igra uśmiech przelotni, jednak udana wesołość mili usteczka. Bo pochylona nad łóżem, kłęczy bledsza od dziecięcia niewiasta, okiem i sercem śledzi każdy oddech słabego, a każdy ból jego tysiącnie się echem w jej czuciu i duszy odbija. Dziecie odgadło cierpienia matki, tłumi w sobie śmiertelne boleści, żadnym wyrazem lub jękiem ich nie zdradza. Lecz w końcu fizyczność odżyła swoje prawa, śmierć podwojoną siłą natarła na swoją ofiarę, a dziecina utraciła przytomność. Ostatnim przeraźliwym jękiem rozdarła pierś matki, ostatnim instynktowym ruchem, okuliła w zmartwiałe rączki jej szyję, i przytuliła się do łona, jak gdyby na niem ucieczki przed zgonem szukała. I nastąpiła chwila okropnej ciszy. Dziecie już nie żyło. Ogrom boleści odjął głos ustom nieszczęśliwej matki, odjął sprężystość jej ciała. Nikt z przytomnych nie śmiał pocieszać, nikt się nie ważył przerwać, tej świętej nieszczęścia chwili. Tak upłynęło parę godzin. Matka ciągle tuliła do siebie trupa dziecinę. Ogniem swych piersi stopiła by lodów bryły, kamieniowi by może czucie wlała, ale nie rozgrzała krwi swego Władzia, nie ożywiła trupa. I jak gdyby poznała próżność swojej pracy, bo ostatnim pocałunkiem wlepiła usta w zmarłą twarzyczkę, jeszcze raz go do serca przycisnęła, i pędem szalonej wybiegła z tego miejsca okropności. Była to pora zimowa. Wiatr północny wył straszliwie, a kłębami rzucał śnieżne zamiecie. Impet wichru, wszystkiemu groził zniszczeniem, zdawało się że cały świat boży runie ze swych posad. Najdiksze zwierzęta siedziały w swoich kryjówkach, żadnaby zdobycz ich niewywabiła w tę, śnieżnych orkanów straszną zawieruchę. Ale matka co jedyne dziecko straciła, nie wiele ma wspólnego z innymi żyjącymi stworzeniami. Nieszczęśliwa biegła i biegła naprzód. Okropna burza na świecie, wtórowała harmonijnie burzy jej serca. Wiatr rozczochnął jej włosów uploty, w nieład odzież rozrzucił, tumany śniegu tłumiły oddech wzburzonej piersi. Szczęściem spotkała męża. Posłano po niego, i wiedział o wszystkim. »Maryjo! na boga! Maryjo, czyż i ciebie mam utracić!« zawołał głosem rozpacz i najtkliwszej czułości. Maryja utkwiała weń osłupiałe żrenice. Wspólność boleści tem więcej ich serca przywiązać była powinna, jednakże Maryja odwróciła się szybko, ubiegła kilka kroków, lecz znużona padła bez przytomności na ręce męża.

Dokończenie nastąpi.

*) Gallehot, który służył miłostkom Lancelota i królowej Geniewry.

Nowości literackie.

W Wiedniu wyszło nakładem Franciszka Pillera dzieło: *Nauka języka polskiego z zasad Szreniawy*. Gramatyka ta której dopiero część pierwsza prasy opuściła, jest pracą M. Sartinięgo, który chcąc wyraźniej dać poznać do jakiego narodu należy, kładzie na pismach swoich miano herbu jakim przodka jego w Polsce uczczono. Każdego [który tę sięgę weźmie do ręki, może zrazić terminologia, której autor używa. Tymczasem niech się tem bynajmniej nieodstrasza jeśli mu na poznaniu dokładnem języka ojczystego zależy. Ktokolwiek głębiej nad gramatyką zastanawiał się, był przymuszony nazwać to lub owo odmiennie niż jego poprzednicy: bo czym powierchowniejsze zastanowienie się nad językiem, tym powierchowniejsza, azatem mniej stosowna terminologia gramatyczna. Żaden z gramatyków polskich niepozwoilił sobie w tej mierze takich zmian jak Szreniawa; tego jednak niekłađlibyśmy mu na karb winy; owszem, jak dotąd, zdaje nam się że autor wnika głębiej w istotę naszego języka niż wszyscy nasi gramatycy, wolno mu więc stworzyć terminologię przeprowadzoną z całą następnością myśli logicznej, byle tylko za jej pomocą wysnuć nam z zasad naukę języka i dać gramatykę któraby się zamylała w prawidłaach a nie w przykładach. Te ostatnie dorobi każdy mechanik skoro raz duchowa budowa języka rozjaśniona zostanie. Że takiej gramatyki nietylko u nas ale i u wielu innych narodów dotąd niema, rzecz to wiadoma. Może nią przysłuży się nam Sartini przy swem gorącym zamiłowaniu języka i żelaznej wytrwałości jakich złożył dowody w dwutomowym dziele swoim: *Szreniawa's Wortforschungslehre der polischen Sprache*, które w zeszłym roku tenże Franciszek Piller wydał swoim nakładem. Cieszymy się, że wynikłość długich i mozolnych badań nad naszym językiem będziemy mogli już czytać w tymże języku, i wyznać trzeba że pominawszy trudności samej terminologii, które załączony na początku słowniczek mógłby dużo ułatwić, Sartini tłumaczył się po polsku jasno i pięknie. O popularniejszym wykładzie nauki języka naszego pomyśli zapewne kiedyś sam autor, skoro raz uda mu się uczeńszych obeznać dokładniej z jego budową.

Wyszedł w Berlinie nakładem i drukiem F. Silbera: *Atlas geograficzny dla użytku szkolnego i prywatnego* złożony z dwudziestu czterech kart przez Juliana Loewenberga. Karty pojedyncze tego atlasu zalecają się równie czystością ro-

boty jak i dokładnością, według najlepszych map zagranicznych, i przedstawiają wszystkie kraje w szczególności, i w ogólności wszystkie części świata. Znajduje się tu także karta orograficzna, i hydrograficzna środkowej Europy. Cena atlasu na miejscu jest 12 złotych polskich, czyli dwa talary pruskich i po tejże cenie przedaje się w księgarni Jana Milikowskiego i po innych księgarniach tu-tejszych.

Biblioteki Ossolińskich poszyt ósmy i ostatni z roku 1843, wyszedł niedawno z druku i zawiera:

- 1) Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyka; przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego (ciąg dalszy).
- 2) Drogi komunikacyjne starożytnej Rusi, artykuł napisany przez ś. p. Adama Czarnieckiego (Chodakowskiego) w języku polskim, i z pism pozostałych tego sławnego podruźnika, których część większa zaginęła, ogłoszony po raz pierwszy w przekładzie rosyjskim a z niego przełożony teraz przez D. Wagielewicza.
- 3) O rękopismach biblioteki Ossolińskich, drugie zprawozdanie przez A. Batowskiego.
- 4) Rozmaitości: Wspomnienie o Józefie Duninie Borkowskim przez M. D.; Dyplom księcia halickiego Lwa z r. 1270, przez X. B. L. Dwaj ze znakomitszych pisarzy rosyjskich Polacy, przez J. Z. Wizerunek Lisowczyka; obraz olejny Rembradta, przez M. D. Latarnia czarnoxięzka przez A. K. Rozprawy Deszkiewicza o języku polskim i jego gramatykach przez A. K.
- 5) Rękopisma księgozbioru Ossolińskich, Stanisław Orzelski przez A. Batowskiego.

W pierwszych poszytach przeglądu naukowego z tego roku, znajduje się w wyborze artykuł Li-belta: o posłannictwie dziejowym narodów.

W bibliotece warszawskiej ze stycznia jest jedna z większych powieści Józefa Dzierzkowskiego pod napisem *Zemsta Bolesty*. Żałować trzeba, że ta piękna powieść zeszpecona tam została mnóstwem błędów. W tejże bibliotece z lutego, są sceny w różnych miejscach przez Ambrozego Ambrozkieвича (nazwisko jak (się zdaje zmyślone) zajmująco i nie bez znajomości rzeczy napisane.